

## Michał Mirecki

## część III z IX

Sygnatura notacji: **N0066**

Data urodzenia: **11.02.1962 r.**

Data nagrania: **25.03.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Borzęcin Duży, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Artur Kłus**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 47 min, część III: 47 min, część IV: 53 min, część V: 56 min, część VI: 49 min, część VII: 48 min, część VIII: 42 min, część IX: 34 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



## TRANSKRYPCJA



INSTYTUT  
PAMIĘCI  
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

**Artur Kłus: Wrócimy do opowiadania, jak to było z produkcją gadałek przy innych akcjach.**

**Michał Mirecki:** Więc rzeczywiście z jednej strony ja zajmowałem się produkcją gadałek, przy czym miałem tych wykonawców kilku. Najważniejszym wykonawcą tych gadałek był Wojtek Radziwon, który mieszkał na Ursynowie, na ulicy Na Uboczu 4 mieszkania 76. I tam w jednym z pokoiów była pracownia, gdzie robiliśmy te urządzenia. Na ogół ja mu dostarczałem skrzynkę, ja robiłem sam skrzynkę do gadałki. Też zajmowałem się tymi różnymi zabezpieczeniami typu siatka, bo obijana ta skrzynka była często, wtedy, kiedy była cewka wysokiego napięcia dołączona, żeby właśnie kopała milicjantów, to była obijana siatka zwykłą taką podtynkową siatką budowlaną, notabene bardzo kaleczącą ręce, więc często przy stawianiu gadałek ludzie się kaleczyli, bo ta siatka była ostra po prostu. I taka z takiej czarnej, że tak powiem, rdzewiejącej siatki, ale dobrze zabezpieczało to. Była cała owinięta tą siatką gadałka i wystawały z niej na ogół dwa przewody, które należało rozłączyć, żeby zadziałała. Czyli nie łączenie przewodów, tylko trzeba było zerwać przewód, który powodował start mechanizmu czasowego. To było lepsze, rozerwanie, pewniejsze nam się wydawało, niż jego połączenie. W każdym razie tak było. I to był taki czas, 1983 rok, gdzie ja zajmowałem się produkcją i robiliśmy też dużo bardzo wyrzutników, bo przez pewien czas, jak wyszła technika strzelania z wyrzutników... Ja nigdy nie uczestniczyłem w strzelaniu z wyrzutników jako wykonawca. Tylko ewentualnie mam tutaj podane, że w grudniu 1983 roku pan spotykał się i współdziałał z „Nordykiem”, z Piotrem Rzewuskim, sypaliście wspólnie ulotki do kwietnia, później, że pan zawiesił działalność i od września 1984 roku ponownie zaczął pan działać i właśnie tutaj wspólnie z Wojciechem Radziwonem i Zbigniewem Saratą. – Czyli to jakby od września 1984 roku. – Tak. Ale to nie jest tak. Ja nie wiem, skąd... Być może to są tak troszeczkę... Bo takie

opowieści, ktoś potem mógł przekładać. To troszeczkę inaczej wygląda. Bo ja byłem z misją w Paryżu po części do radia, byłem w roku 1984 do końca września. Ale Radziwona to już znałem wcześniej z kolei. Saratę też znałem wcześniej, dlatego że Sarata mi dał listę rzeczy, które mam przywieźć z Paryża. Chociażby to najlepszy dowód na to, że musiałem znać Saratę wcześniej. Ja zakładam, że Saratę poznałem na początku 1984 roku, a Radziwona to jeszcze wcześniej. Moim zdaniem Radziwona poznałem w 1983 roku... ..zadanie ogarnięcia produkcji elektronicznej. Tym bardziej, że też się zajmowałem trochę elektroniką, sam potrafiłem lutować i robić proste układy, natomiast nie potrafiłem konstruować, tak jak robił to Wojtek. Wojtek potrafił konstruować, czyli umiał połączyć ze sobą różne urządzenia, sprawdzając ich przydatność, kompatybilność, że tak powiem, ze sobą, czyli wiadomo, że wzmacniacz musiał być odpowiedni, do kolumn odpowiednich, a z kolei magnetofon musiał być taki, żeby wzmacniacz mógł go czytać, więc trzeba było to wszystko połączyć. Ale ja zajmowałem się zaopatrzeniem. Jeździłem po sklepach elektronicznych, w Warszawie było ich kilka, z częściami, i się kupowało, czegoś, czego nie można było zdobyć, to z kolei zwrótnie prosiłem Teosia, żeby wyciągnął od Solidarności, bo Teoś miał kontakty z komisjami zakładowymi, w zasadzie wszystko mogliśmy mieć. Jak coś było potrzeba, to się Teoś zwracał do jakiejś komisji zakładowej i dostawaliśmy to z tej komisji zakładowej. Na przykład coś było robione ze skóry, z fartuchów hutniczych. Nie pamiętam, co to mogło być. Mogły to być krążki wycinane do wyrzutników na przykład, krążki ze skóry. Mogło tak być, że się robiło takie krążki ze skóry, które oddzielały ładunek, chociaż one były na ogół gumowe, te krążki. Ale generalnie tego typu potrzeby, zawsze, jak coś było takiego nie do dostania na rynku, to można było zwrócić się bezpośrednio do zakładu i to się otrzymywało od komisji zakładowej po pewnym czasie. Ale mówię to w nawiązaniu do części elektronicznych. I te części były przeze mnie kupowane, dostarczane do Wojtka Radziwona oraz jeszcze wtedy też, warto wspomnieć, raz konstruował gadałkę facet o pseudonimie „Ruszkina”. Niestety nie pamiętam jego nazwiska. Na imię miał chyba Paweł. Albo Piotr. Ale „Ruszkina”. I to był hipis, elektronik też, ale on generalnie zajmował się hipisowskim życiem w Bieszczadach, ale potrafił zrobić gadałkę. I przez pewien czas... przyjechał do Warszawy, zatrudnił się jako taki stróż gdzieś nocny, tenże „Ruszkina” i on w tym czasie dla mnie wykonał gadałkę. Był dobrym majsterkiem takim elektronicznym. Tak że jedna gadałka była zrobiona przez Ruszkina. Pozostałe wszystkie gadałki, które ja wykonywałem, które ja nadzorowałem, ich produkcję, to robił Wojtek Radziwon. Wszystkie. Tak że tylko jedna była taka. Byli jeszcze inni wykonawcy opóźniaczy czasowych, ale też nazwiska tego pana... starszy pan, mieszkał na Synów Pułku, który wykonywał dla mnie układy czasowe do wyrzutników. Kolejnym moim kontaktem, ale zupełnie oddzielnym od grup i bezpośrednich działań, to był właśnie Wojciech Sarata... Zbyszek Sarata. I Zbyszek Sarata... Dostałem kontakt do Zbyszka od Teosia jako do osoby, która może nam pomóc skonstruować radio. Przy czym Zbyszek Sarata, jak go poznałem, przyznał, że mógłby to zrobić, ale mówi: „O, teraz są takie rzeczy na zachodzie, nie ma sensu tego robić tutaj, trzeba to ściągnąć”. I podał mi taki właśnie wtedy dla mnie magiczny kryptonim BGY 34. – BGY 32 chyba. – 32. BGY 32. I to była nazwa kości takiej, układu scalonego. To był właściwie stopień mocy wzmacniacza. Nie do końca stopień mocy, bo tam jeszcze jakaś tam moc była, ale generalnie Zbyszek powiedział, że jak mamy to, to robimy bez problemu fonie na częstotliwości fonii telewizyjnej w zasięgu przyzwoitym, to znaczy... no właśnie, z pelengacją, myśmy nigdy nie badali tego. Na próbach ja stwierdzałem, że jak w promieniu kilometra było słychać to dobrze, to było super. Ja nie wiem, na ile był mocniejszy od Romaszewskich, ale to były mocne nadajniki. One bardzo ciekawie pokazywały, bo się pokazywało, można było zrobić tak, że na jednym rejonie było to bardzo dobrze słyszalne, potem nie było słyszalne, a nagle w jakimś innym rejonie też było znakomicie słyszalne. Generalnie propagacja fal radiowych jest bardzo dziwna i związana z bardzo wieloma czynnikami i różnymi odbiciami, więc nie umiem

powiedzieć na temat zasięgu w tych... ale próby robione na Ursynowie, w dużym skupisku bloków, to w zasadzie to po widnokrąg te nadajniki były słyszalne. Tak. I on był całkowicie zakonspirowany od grup oporu, w tym sensie, że nikt nie znał Zbyszka Saraty w grupach oporu, poza mną i Teosiem. Oczywiście Tadeusz się wtrynił w to, bo pewnego dnia, jak robiliśmy próby... W jakiś sposób rzeczywiście Teoś izolował Tadeusza od pewnych rzeczy. Nie wiem, na jakiej podstawie, czy wiedział coś o nim więcej. Moim zdaniem... to jest w ogóle oddzielny temat, co Teoś wiedział o Tadeuszu, bo moim zdaniem w pewnym momencie dużo wiedział, ale nie na początku. Nie wiem, trudno powiedzieć, bo to... Ja sam mogę powiedzieć, ja byłem cały czas tak blisko Tadeusza, że... Może do tych wewnętrznych rzeczy to jeszcze dojdziemy. – Dojdziemy, prawda? No właśnie. – Tutaj bym chciał właśnie tylko uszczegółowić, że pan Zbigniew od kwestii nadajników radiowych, a z panem Wojciechem Radziwonem od gadał. – Od gadał, tak. – Jeszcze jak byśmy do tych gadał właśnie wrócili, to znaczy, jakichś takich akcjach z tym związanych. No to tak, jedna... Z moich sprzętów dwa wylądowały na dachu przy ulicy Rakowieckiej. Przy jednym nie brałem udziału, tylko przekazałem gadałkę, przy drugiej spotkałem się z Teosiem, który stał na dole, ja byłem tam po to, żeby chłopakom bezpośrednio pokazać, jak należy uruchomić gadałkę. Ale oni powiedzieli: „Nie, to nie będziesz tutaj nam pokazywał, tylko chodź z nami, to włączysz nam tę gadałkę. Nikt nie będzie cię teraz słuchał”. Bo to była grupa „Waldeczków” i Teoś ich nazywał wtedy... Nazwa „Waldeczki” funkcjonowała też, ale funkcjonowała również nazwa „Bojowcy”, bo tak nazywał ich Teoś w naszych rozmowach. Tak że to są dwie akcje. Przy czym, tak jak mówię, przy jednej z tych gadałek odpalałem ją, wystawiając głowę przez okienko, pamiętam. Bo ona gdzieś już była na dachu, ja musiałem ją odpalić, zszedłem po drabinie i chłopaki ją tam gdzieś ustawili, żeśmy dali dyla, nikt tam nie wpadł nigdy, na tej Rakowieckiej. Tak że dwie moje gadałki były, przy czym ta druga, przy której brałem udział, to była na pewno podczas aresztowania Marka Wareckiego z tej mojej pierwszej grupy, bo Marek Warecki się dokładnie domyślił, że to jest moja gadałka, a Marek siedział w 1984 roku chyba, od kwietnia do, powiedzmy, sierpnia. Za działalność wydawniczą. Więc to wtedy, ja w tym czasie musiałem brać udział w akcji gadałkowej w 1984 roku na ulicy Rakowieckiej. Natomiast akcja była jeszcze na Rutkowskiego i jeszcze w paru miejscach, powtarzanych, bo na Rutkowskiego mogło być tych akcji więcej, w podziemiach też była jeszcze robiona raz akcja. Była robiona gdzieś przy domu dziecka, gdzieś tam na ulicy Brackiej. Tych gadałek kilka było stawianych w tych miejscach i powstało ich sześć, siedem za moich czasów, do 1986 roku. Tak że nie były tak często, jak się opisuje w niektórych materiałach. Albo były, tylko były robione gdzieś w innym magazynie. Znaczący w innych pracowniach. Ale nie sądzę, bo ja byłem wtedy dość dobrze poinformowany i myślę, że bym wiedział o tym, że gdzieś jeszcze ktoś wykonuje gadałki. W każdym razie z tą działalnością sobie... Aha, to jest jeszcze ciekawa rzecz. W ogóle to wszystko świadczy teraz, można powiedzieć, że strasznie można się wstydzić za niedociągnięcia konspiracyjne, ale w moim mieszkaniu, gdzie mieszkalem, przeniosły się też sprawy związane z drukiem. Bo ja od pewnego czasu przeniosłem się z ulicy Koszyckiej, gdzie mieszkalem z rodzicami, do wynajmowanego przeze mnie mieszkania na ulicy Górczewskiej. Przy czym tak naprawdę to tam najpierw była drukarnia, w tym mieszkaniu, i drukowaliśmy różne rzeczy. W pewnym momencie pojawił się problem z płaceniem czynszu, bo to było wynajęte mieszkanie przez Rysia Szemraję. Pojawił się problem czynszu, bo właściwie kto ma płacić czynsz za to mieszkanie, jak my tam czasem drukujemy. No Rysio, ktoś tam, więc ja mówię, słuchajcie, ja tam zamieszkam, to ja będę miał z tego korzyść, będę tam mieszkał, a przy okazji zarobię sobie, drukując okładki do „Rytmu”, bo wtedy Tadeusz prowadził Wydawnictwo „Rytm” i tam robiliśmy drukowanie okładek. Tam z Piotrkim Siegelem i z Rysiem Szemrajem te ulotki drukowaliśmy. Ja sobie dokładałem do tego i płaciłem czynsz, chyba z 1 tysiąc złotych tamtejszych i tam już mieszkalem. Planowałem tam mieszkać dłużej, w związku z tym, po-

nieważ tam zamieszkałem w jakimś 1984 roku, przenieśliśmy się tam cały 1985 rok i po to, żeby się czuć bezpiecznie we własnym domu, zrobiłem tam bardzo profesjonalną skrytkę. Uśmiecham się z tego powodu podczas tej opowieści, bo skrytka była rzeczywiście super konspiracyjna, tylko że wiedział o niej Kotarski i w związku z tym jak weszła bezpieka do tej skrytki, to wiedziała, gdzie ona jest i po prostu otworzyli ją łomem. Podejrzewam, że otworzyli ją łomem, dlatego że nie chcieli otwierać jej w sposób taki, który był jej przeznaczony do otwierania, bo zdradziliby w ten sposób, że ktoś wiedział, jak się ją otwiera. Natomiast skrytka była o tyle ciekawa, że była bardzo duża, dlatego że był w takim pionie, znaczy w miejscu, gdzie były pionowe wentylacyjne w budynku na ulicy Górczewskiej 24, mieszkania 47, część pionu wentylacyjnego wyłączyłem z użytkowania, tam były w ogóle skandale z punktu widzenia pożarniczych, dlatego ten dom... mam nadzieję, że tam odzyskano tę przestrzeń, bo ja to po prostu przeprowadziłem ludziom z dołu jakimiś peszlami wentylację, żeby uzyskać dużą przestrzeń, skuwając ten komin wentylacyjny i w tej przestrzeni zrobiłem skrytkę, czyli te peszle to tam bardzo zwężały tę wentylację poprzez... Ale ja miałem ogromną skrytkę i w tym miejscu na ścianie wisiało lustro, które było zamocowane do ściany tak, żeby nie można było go zdjąć w żaden sposób. Które to było piętro? To było piętro szóste. I zdejmowanie tego... To było dość duże lustro. Zdejmowanie lustra polegało na tym, że było lustro na stałe, nie wiadomo, jak przymocowane dla osoby postronnej, generalnie trzeba było wziąć baterijkę i przyłożyć w innym miejscu, gdzieś tam przyłożyć baterijkę płaską do wieszaka i w tym momencie zamek taki furtkowy powodował, że można było to lustro odcisnąć. Czyli zamek elektromagnetyczny powodował możliwość oderwania lustra od ściany, a tak to było przymocowane. Tak jakby ktoś je przykleił, wyglądało. Natomiast w momencie, kiedy się przykładano baterijkę do dwóch śrubek na wieszaku, przy wieszaczku, zupełnie w innym miejscu, przewody poprowadzone pod tynkiem, i wtedy się przykładano tę baterijkę, działał zamek magnetyczny, lustro było zdejmowane. W tej dużej skrytce, bo ta skrytka zajmowała wysokość... na całej wysokości pionu, na ogół te mieszkania miały 2,50 wysokości mieszkania, szerokość tej skrytki była na jakieś 40 centymetrów, a głębokość z 60 centymetrów. Tak że było tego wszystkiego, tego towaru, zarówno elektronicznego, bo wszystkie części tam trzymałem, jak i potem nadajnik radia Solidarność, tam trzymałem próbny nadajnik, jak i również materiały poligraficzne w tej skrytce były przechowywane. Czyli można powiedzieć, że wchodziłem do domu, schowałem za lustrem wszystko... nie obawiać żadnych rzeczy, teoretycznie byłem gotowy, że może nawet przyjść tu policja i nie znajda. Milicja. Czy bezpieka. I nie znajda. Panie Michale, chciałbym zapytać, jeżeli chodzi o dalsze akcje, jak wyglądała sytuacja jeszcze z wyrzutnikami do ulotek i pracy nad tym i sprzętem elektronicznym, jeżeli chodzi o same przeprowadzanie akcji? No cóż, wyrzutniki, to jest pomysł, który się zrodził gdzieś w którejś z grup, zdaje się, że blisko Piotra Rzewuskiego ten pomysł się zrodził. Ja, powiem szczerze, nie byłem wielkim entuzjastą tych urządzeń, bo one zawsze mi się wydawały niebezpieczne, a tak się okazało, że one były niebezpieczne, bo dwa przypadki znam, gdzie były osoby, które uszkodziły sobie ciało albo komuś uszkodziły ciało. To znaczy tak, może powiem o tyle, że wyrzucanie ulotek z wyrzutników mogło być potrzebne z tego tytułu, że na przykład czasami chcieliśmy wyrzucać... za mało było tych punktów, o których mówiłem wcześniej, za mało tych punktów, z których można było wyrzucać, one były też coraz mniej bezpieczne, bo jak bezpieka wiedziała, że tam się wyrzuca, to tam mogli patrolować te punkty. I były takie przypadki patrolowania tych punktów też, to były jakieś tam ucieczki, pamiętam, i opowiadane przez niektórych kolegów, ale ja tego z własnych przeżyć nie znam. Tak że rozumieliśmy był powód używania wyrzutników, bo czasami w otwartej przestrzeni po prostu wyrzucenie z ręki mogło być mniej skuteczne, bo wyrzutniki strzelały dość mocno tymi ulotkami. Wyrzucane były na wysokość około sześciu, siedmiu metrów. Ja uczestniczyłem na jakichś próbach wyrzutników, żebyśmy wiedzieli czy to działa, ale nigdy w akcji wyrzutnikowej nie brałem udziału. Wyrzutnik

był skonstruowany generalnie w sposób taki, że było to jakieś 30 centymetrów rury kanalizacyjnej z setki czy tam sto dziesiątki, takiej samej, jak obecnie się używa. To jest to samo tworzywo, które... te szare rury kanalizacyjne były cięte na odcinki około 30-35 centymetrów. Przy czym z jednej strony ta rura była zaczopowana za pomocą drewnianych takich zatyczek, kołków, szczelnie pasujących do rury, one były toczone gdzieś przez jakiś zakład, który nam tutaj usługowo to robił. Zakład jakiejś komisji Solidarności. Tak że był ten pierwszy element, z jednej strony rura była zamknięta, była przewiercona kilkoma gwoździami albo wkrętami, przynajmniej trzema, na stałe, też to było zaklejane w tej rurze, przy czym zaraz za tym korkiem drewnianym była mała dziurka, która służyła wpuszczeniu zapalnika. Następnie był ładunek miotający, wybuchowy, dymny, on był robiony na ogół na bazie typowego, w tamtych czasach znanego wszelkim pirotechnikom różnej maści, bo wtedy się pirotechniką zajmowali ludzie, że tak powiem, z nudów, dużo więcej niż teraz. Obecnie się kupuje sztuczne ognie, prawda, natomiast wtedy ludzie też lubili strzelać i wtedy się strzelało z petard. Więc surowcami znanymi do produkcji petard powszechnie była farbka aluminiowa, czyli sreberko aluminiowe czy pył aluminium. Farbka w tym sensie, że to rozpuszczane w jakimś rozpuszczalniku, malowało się tą farbą grzejniki. Na srebrny kolor. Tak że to było ogólnie dostępne we wszelkich małych sklepikach z farbami, których było kiedyś bez liku. A nadmanganian potasu to było ciężiej kupić, ale to trzeba było kupować w aptece, zdobywać ten nadmanganian, bo tak niechętnie sprzedawane były w większych ilościach przez panie farmaceutki, ale jakoś tak chyba był kombinowany generalnie z aptek. Mieszanka aluminium i nadmanganianu potasu, zresztą mieszanka silnie wybuchowa, która powodowała właśnie zapłon tego za pomocą specjalnego zapalnika, o którym zaraz powiem. Zapłon następował w tej komorze między kołkiem drewnianym a wciśniętą gumowym krążkiem, który, nie wiem, czy tu nie leży nawet u mnie, zaraz sprawdzę, czy nie leży taki krążek gumowy, chyba jest tutaj z odtwarzania tych rzeczy. A za tym krążkiem gumowym były już ulotki, z rulon ulotek włożony. Tak że krótko mówiąc, to co wylatywało z tej rury, to były ulotki i krążek gumowy, na ogół to się oczywiście zostawiało, nikt tego już potem nie zbierał, oczywiście mam na myśli gumę grubą, taką o grubości około jednego centymetra. Tak że rzeczywiście skutecznie to bardzo rozsypywało ulotki i można było to zrobić... Często były używane do tego kubły na śmieci, gdzie się wkładało taki wyrzutnik do kubła na śmieci i wtedy w naturalny sposób on był skierowany do góry, bo żadnych podstawek nie robiliśmy do wyrzutników szczególnych, powinny być takie podstawki, wtedy to by wyglądało jak taka haubica czy, powiedzmy, ten... W każdym razie nie było podstawek, to gdzieś było albo przykopywane lekko w ziemi, albo wstawiane w jakieś pojemniki i strzelało. Teraz niestety właśnie podczas wyjazdu jakiegoś... wiem, że Marek Głowacki brał udział w takim wyjeździe do Wrocławia chyba. Tam jakąś kobietę poparzyło to i to był ciężki wypadek przy pracy. A drugi przypadek był na etapie produkcji tych wyrzutników. U Mariusza Zielińskiego, u którego w lokalu, w mieszkaniu bywałem często, przywożąc właśnie te zapalniki, układy czasowe, nastąpiła eksplozja być może kilku nawet przygotowanych wyrzutników, która spowodowała ogromne poparzenia twarzy Mariusza Zielińskiego, był poparzony w sposób straszny. Ja go odwiedziłem w szpitalu potem. Notabene trafił na Wydział Ginekologii, żeby nie było podejrzeń, co śmiesznie brzmi, że mężczyzna na Wydział Ginekologii. Ale tam był akurat przyjęty na taki oddział z racji tego, że chodziło o zakamuflowanie przypadku jego, żeby nie wyszło, że to był wybuch przy produkcji urządzeń związanych z Podziemiem. Był strasznie zniszczony. Wiem, że na szczęście mu ta twarz... wzroku nie stracił, ale zdaje się, że miał jakieś kłopoty potem. Nie stracił wzroku, ale miał uszkodzony wzrok. Ja go pamiętam jako człowieka, który nie ma twarzy. Spotkałem się z nim i on mi pokazał to, co miał w miejscu twarzy, miał jedną wielką opuchliznę. Jedynie były ślady... Mówił coś, ale mówił bardzo... miał całą spuchniętą twarz. Trudno sobie wyobrazić w ogóle, jak wyglądał. Nie wiem, czy ktoś mu zrobił zdjęcie, czy jego brat... Jego brat, którego

spotykam teraz, Mieszko Zieliński. I kilka jeszcze innych osób było w tym szpitalu, jak ja odwiedziłem Mariusza. Ale to było straszne przeżycie, bo rzeczywiście mieliśmy świadomość, że te wyrzutniki są jednak niebezpieczne bardzo. I właściwie po tym incydencie zaprzestaliśmy ich użytkowania po prostu. Wprawdzie Mariusz przyznał, że zachował się tutaj bardzo niechlujnie podczas ich produkcji i wyrzutniki miały to do siebie, że też zrywało się kabel. Wystawała pętka kabla, którą trzeba było zerwać i wtedy po zerwaniu tego kabelka... Tak że nie połączenie kabla, co mogłoby nastąpić przypadkowo, tylko właśnie przecięcie kabla, powodowało odpalenie układu czasowego. To może w tym miejscu powiem, jak działał ten zapalnik. To była też bardzo śmieszna konstrukcja. Ale pomysł jest w ogóle, powiedziałbym, szalony, fajny pomysł, ale teraz nie myślę o tym z wielką jakąś taką... Bo te gadatki były super urządzeniami, bo one w sposób pokojowy robiły swoją robotę. Wyrzutniki wprowadzały pewien zamęt i stwarzały zagrożenie dla zarówno bojowców, jak i dla ludności. Także trzeba ocenić ten pomysł jako niezbyt dobry. Natomiast miotacze ulotek w ogóle generalnie są sprzętem wojskowym. Śmiesznie, bo próbowałem szukać wiadomości na ten temat w internecie, parę lat temu, czy ktoś napisał o naszych wyrzutnikach. I spotkałem się z wyrzutnikami ulotek jako sprzętem militarnym. To znaczy, że rzeczywiście używany był w trakcie powstania warszawskiego i w ogóle potem był jednostką taką z broni do wojny propagandowej na froncie. Rzeczywiście były jakieś robione wyrzutniki, ale zupełnie inaczej niż te nasze z tych rur kanalizacyjnych. Tak że to jest tego typu historia. No cóż, o zapalniku... Układ czasowy to był na maleńkim, takim cztery na cztery, kawałku płytki elektronicznej, odpowiednio wydrukowanej, mieliśmy taką produkcję, że trzeba było wydrukować te płytki, pociąć je na kawałki. Następnie wmontować odpowiednie elementy, tam był taki układ z trzema piątkami, typowy, znany elektronikom wszystkim układ czasowy 555, na który ustawiał czas około 3 minut, 3:40, coś takiego. Za długi ten czas był często, z punktu widzenia operacyjnego to bardziej przydatne byłyby krótkie czasy, ale to niestety nie pozwalało na regulację tego czasu. Jakoś te nasze wyrzutniki strzelały po trzech minutach i kilku sekundach. I cóż, ten opóźniacz czasowy po prostu miał do siebie doczepioną baterię, tak zwaną płaską baterię, czyli taką 4,5-woltową, która po prostu w momencie, kiedy działał ten odpalacz, został puszczany przez tranzystor prąd na tę żaróweczkę uszkodzoną, zapalnikową i wtedy następowała eksplozja i wybuch ulotek. No. Tak że to tyle o wyrzutnikach. Jeszcze mogę powiedzieć, że była taka jedna jednostka produkowana przez nas trochę eksperymentalnie, mianowicie ostrzegacze. Był taki jeden system i Teoś go czasami używał. Polegało to na tym, że jak jakaś była duża przewałka jakichś materiałów, papieru czy z drukarni, czy cokolwiek innego, jakaś taka poważna przewałka, gdzie była obawa, że to może zostać zatrzymane, samochód do kontroli, to wtedy przed takim samochodem jechał drugi samochód, w tym samochodzie był nadajnik, a w samochodzie, który był ochraniający, był odbiornik. Nadajnik po prostu puszczał sygnał, buczek, w sytuacji zagrożenia. Nie było wiadomo, jakie to jest zagrożenie, tylko było wiadomo, że zagrożenie jest i najlepiej samochód zaparkować, zamknąć i skontaktować się. Takie były wytyczne. I o ile Teoś używał tego, on dostał ode mnie taki próbny sprzęt, to były dwa takie zrobione z aluminium, dwa takie nadajniczki, niepozornie wyglądające. Wyglądało jak jakieś takie raczej... Jak jakieś tajne urządzenie to wyglądało na pewno, bo tam była jakaś dioda czerwona i nie wiadomo co właściwie. Urządzenie z baterijką, odbiornik to w ogóle bez niczego, tylko baterijka, a nadajnik miał ten przycisk. Tak że ostrzegacze. I ostrzegacze takie wpadły u mnie przy rewizji. One były [niezrozumiałe]. Ale one nie działały tak za mocno. Teoś to używał, bo to był jego pomysł i ja mu ten pomysł zrealizowałem w sensie technicznym, ale one nie zasłużyły się jakoś w bojach. Czy coś jeszcze było z elektroniki? Dochodziły do nas czasami walkie-talkie, których się nie dało naprawić. To była zmoja z tym, bo „napraw walkie-talkie”. No to weź napraw, jak coś jest spalone albo w ogóle nie, od innego. Tak że miałem tam jakieś zestawy popsutych walkie-talkie. Jakimś cudem się u mnie znalazł jakiś



podśluch telefoniczny, ale to ktoś mi go przekazał, czyli podśluch, który się zakładało na kabel telefoniczny. Ale też nie był wykorzystywany, przynajmniej ja nie wiem, do czego miałby być wykorzystywany ten podśluch. Ja tę tak zwaną „szepejarnię”, jak to nazywał Teoś, bo Teoś tak to nazywał, szepeje i szepejarnia, czyli wszystkie takie rupiecie, tę szepejarnię odziedziczyłem po jakimś poprzednim konstruktorze tych gadatek, więc miałem tam trochę tego sprzętu różnego. Na ogół część tego sprzętu była nieprzydatna i po prostu była tam przechowywana tak sobie, nie wiadomo, po co. Generalnie została potem zgarnięta przez bezpiekę. Oni się nad tym zastanawiali, do czego to wszystko służy, ale nie było na to odpowiedzi czasami. W każdym razie to było też w tej mojej skrytce za lustrem schowane, te rupiecie. I teraz tak, właśnie, to jest bardzo ważna rzecz, bo z punktu widzenia celu tych notacji wydaje mi się, że warto powiedzieć o strukturze grup, jak ona była stworzona. – Mianowicie... – A może jeszcze przed tymi grupami, jeżeli chodzi o akcje, to to zasmradzanie jeszcze. A, zasmradzanie. Zasmradzanie to jest... Nie wiem czy pan zwrócił uwagę, bo ja o tym opowiadałem jedyny raz na tym materiale na „Przystanku Historia”, bo nie było to zasmradzanie związane ze słynnym zasmradzaniem Grup Oporu. To było wydarzenie sprzed jeszcze grudnia, sprzed grudnia, ale też podejrzewam, że sprzed sierpnia 1980 roku, to mogło być w roku 1978, 1979, z Ryśkiem Pikiewiczem, z którym się wtedy właśnie przyjaźniłem, jest jednym z kolegów z tej mojej pierwszej grupy. On był zawsze pirotechnikiem, zrobił świetne... Jego ojciec był myśliwym, w związku z tym miał duże ilości gilz. Gilz do dubeltówki. A gilzy do dubeltówki były wymarzonym elementem do petard. Z tego się robiło po prostu petardy. Należało wsypać to samo, co mówiłem, mieszanek kalichlorku, czyli nadmanganianu potasu i sreberka do tej tułki, zatykało się to zwykłym korkiem od wina z przebitą jakąś tam zawleczką, żeby to się mocno trzymało, z drugiej strony zawleczka była naturalna od spłonki, od tej gilzy i wkładało się szturmówkę, taka zapalniczka dłuższa, paląca się takim „pszszz”, z całym materiałem palnym albo zimny ogień, ale szturmówka była lepsza, bo szturmówki się właściwie zapalało i się rzucało, ale petardy... Oczywiście petard, nie przypominam sobie, żebyśmy wykorzystywali je kiedykolwiek w działalności konspiracyjnej, one były raczej wykorzystywane, petardy, w takim zamiłowaniu chłopaków w tamtych czasach. Po prostu się tych petard robiło dużo, szczególnie na Wielkanoc. W tej chwili już to się przetoczyła ta moda, ale kiedyś było to tak, że w kościołach niestety szyby leciały od tych wybuchów pod kościołami, bo na rezurekcjach, na pierwszej mszy w Wielką Niedzielę, po prostu wszystkie okoliczne łobuziaki strzelały co większymi petardami. I pamiętam, że tam bomby niektórzy przynosili pod ten kościół. Tak że rzeczywiście pamiętam na ulicy Deotymy w Kościele świętego Józefa, jak poleciała cała szyba w kościele od tych wybuchów. Mówiąc o okaleczonych kioskach i kwiaciarniach, które były po prostu spalane. Tak że takie dziwologstwa się działy w tamtym czasie. I to było normalne, że młodzi ludzie strzelają z petard. Ale to nie mówimy o petardach, tylko mówimy o pirotechnice Grzesia Rysia, bo Rysio ma tak, że raz się na niego mówi Grzesio, raz Rysio, Pikiewicza, zresztą chemika z wykształcenia, w związku z tym to był jego znakomity pomysł. Mówi: „Chodź, pójdziemy do kina i zasmrodzimy kino siarkowodorem”. I do tego użyliśmy kwasu siarkowego i cynku chyba, i blachy cynkowej. Ja nawet też miałem ten problem na tym nagraniu, że nie pamiętam dokładnie. To każdy chemik by powiedział, co zrobić, żeby uzyskać siarkowodór, ale ja teraz tego nie powiem. Generalnie było to zrobione tak, że była puszką chyba, puszka z tą substancją, która miała być zalana kwasem, przy czym używaliśmy do tego zalewania folii aluminiowej, wypróbowanej, odpowiednio grubej folii. Folię się wkładało w ten sposób na słoiczek z substancją, którą się zalewało i łąpało się to gumką, i po prostu od góry się dolewało kwasu. Po odpowiednim czasie folia się przepalała i ten kwas wpadał dalej do tej puszki, i tam się wydobywał siarkowodór. I taką akcję uczyniliśmy z Grzesiem po spektaklu... nie wiem, czy nie „Kabaretu”, słynnego filmu „Kabaret”, ale przed spektaklem „Pancernik Potiomkin”, czy coś takiego, jakiś ruski, już nie pamiętam, jakiś ruski film miał być.

I po prostu myśmy obejrzelismy sobie elegancko ten film wcześniejszy w Kinie „Wiedza”... Pod siedzeniem z przodu wylalismy i wyszlimy. Potem zesmmy tylko z daleka patrzyli, co sie dzieje. No dzialo sie, ze ludzie nie weszli na ten spektakl. I byla z tego satysfakcja. Ale to jest wydarzenie, mowie, ktore robilem z Rysiem Pikiewiczem jeszcze przed sierpnem. Ono mialo motywy polityczne, dlatego o tym warto dzisiaj mowic, tak jak nie warto mowic o petardach na rezurekcje, tak pod wzgledem politycznym mialo to... bo to byl jakis rosyjski film, taki komunistyczny, nie „Pancer-nik Potiomkin”, cos innego to bylo. W kazdym razie byl to jakis taki komunistyczny, rosyjski film, ktory zostal w ten sposob przez nas z programu Kina „Wiedza” wyeliminowany. Natomiast rzeczywiscie o zasmradzaniu mieszkani to ja wiem od Teosia. Uzywano do tego innych substancji niz te, o ktorych ja teraz mowilem. Ale tutaj to wlasnie nie wiem, kto o tym moze opowiadac. Bo czasami pewne rzeczy w grupach sa opowiadane jako pewne takie legendy zywe, ale juz nikt nie powie, ze sam w tym bezposrednio... dokladnie pamietal. Ja tutaj moge o paru rzeczach w ten sposob powiedziec, to, o czym mowie, czyli o produkcji gadatek, o produkcji wyrzutnikow, o produkcji zapalnikow, ale nie uczestniczyłem nigdy w tym zasmradzaniu. A ten element tych podróży? A to podróże to jest w ogóle cała wielka historia, bo to sie wiaze z tą moją ideą fiks, zeby zrobic nadajnik radia na czestotliwosc telewizji. I w tej sprawie wspolpracowalem mocno z Teosiem, to znaczy Teos popieral ten pomysl, natomiast Tadeo byl temu zawsze przeciwny. Dzisiaj moge wiedziec, dlaczego byl przeciwny. Dlatego, wiadomo, ze byl po tamtej stronie barykady. Natomiast, to jest w ogóle dla mnie cos... Ja nie umiem opowiadac tej historii, bo teraz to jest po prostu zenujaco glupio przyznac, ze sie pracowalo tyle lat z agentem, ale taka jest prawda. Ja mialem tez wielokrotnie watpliwosci, niestety tu musze powiedziec, ze Teos zawsze go bronil i mowil, ze to jest niemozliwe, ze przeciez gdyby on byl ubekiem, to bysmy wszyscy sie dzieli. I ten argument, nieracjonalny z dzisiejszego punktu widzenia, przewazal, ze wiekszosc ludzi sie zgadzala, rzeczywiscie, gdyby on wiedzial, to bysmy wszyscy dawno juz, by nas zdjeli. Ale to nie byl przekonujacy argument, jak widać z dzisiejszej perspektywy. Znaczy byl przekonujacy nas, ale nie byl rozsadny. W kazdym razie wyjazd do Francji wiatal sie z tym, ze Zbyszek Sarata po zrobieniu wstepnego projektu, jak mozna wykonac nadaj-nik radiowy na czestotliwosci fonii telewizji, poinformowal mnie, ze on moze to zrobic, ale pod warunkiem, ze mu zdobede z Zachodu, z ogólnie rozumianego Zachodu, czesci BGY 32 i zeby nie szukac tego w oficjalny sposob, bo ten układ BGY 32 jest dokladnie do tego, zeby nadawac na tej czestotliwosci. Czyli on jednoczesnie demaskuje zamiary. Bo jak ktos szuka BGY 32, to demaskuje to jego zamiary, do czego zamierza tego uzyc. W związku z tym poszukiwanie tej czesci bylo szczegolnie obarczone przez nas pewną konspiracją. O tych sprawach z radiem rzeczywiscie, o ile w Podziemiu naszym w tych naszych grupach to wszyscy wiedzieli o wszystkim, duzo wiedzialo, ludzie znali te kontakty. To radio bylo dosc mocno zakonspirowane. Nawet mozna powiedziec, ze w jakis sposob bylo zakonspirowane przed Tadeuszem, ale on oczywiscie dbal o to, zeby takie rzeczy sie... bo one gdzieś sie pojawialy, te rzeczy. Tym bardziej, ze konstruowanie radia trwalo bardzo dlugo, bo zaczelo sie w roku 1984, ja bym powiedzial, ono sie zaczelo na poczatku roku 1984, bo ja juz w lipcu, kiedy wyjezdzałem do Francji, to po pierwsze zalatwilem sobie paszport na ten wyjazd, po drugie zalatwilem wziesniej poprzez kontakty z biurem Solidarnosci w Paryżu. Mialem pewnosc, ze ktos mi pomoze te czesci zdobyc. Chociaz komunikacja byla bardzo utrudniona, bo wiadomo, nie bylo mowy o zadnych rozmowach telefonicznych w ten sposob, chociaz byla mozliwosc dzwonienia do Paryża, ale nikt przez telefon takich rozmow w zyciu nie prowadzil, bo to byloby samobójstwo, samobójstwo, w sensie, na-tychmiast namierzenie. A nawet przekazywanie pocztą takich informacji tez bylo zagrozone. Tak ze w zasadzie to bylo tylko tak, ze Teos w jakis sposob przekazal komus w Paryżu i to nie wiem, komu tak naprawde, komu przekazal. Wiem, ze byla mowa o... to smieszna historia, powinienem to sprawdzic, ale to albo byla mowa o Sewerynie Blumsztajnie,



albo o Wildsteinie, ponieważ obu panów znałem tylko z nazwiska wtedy i nie bardzo ich umiałem rozróżnić, nie pamiętam, o kim mówił. Jeżeli Wildstein był wtedy w Paryżu, to znaczy, że Teoś mówił o Wildsteinie, ale wydaje się, że Wildsteina nie było wtedy w Paryżu, więc tam był wtedy Blumsztajn. Prawdopodobnie, tyle wiem. I to jest znowuż, notacja, więc to jest tyle, co pamiętam. Dostałem z tym „...steinem”, był to albo Wildstein, albo Blumsztajn, ten ktoś się dowiedział o tym, że ja będę jechał do Paryża. Dostałem też, przyjęliśmy też nazwisko dla mnie nowe na Paryż, oczywiście paszport miałem na swoje nazwisko, ale dostałem z działu legalizacji, nad którym Teoś czuwał, otrzymałem legitymację studencką jakiejś uczelni, nie warszawskiej, nie pamiętam, nie mam tej legitymacji, potem ją gdzieś też straciłem, ale to była legitymacja na nazwisko Piotr Jagodziński. I jako Piotr Jagodziński... Ta legitymacja miała służyć takiemu, w razie czego, jak ktoś by pytał, żebym miał to gdzieś tam w papierach, żeby ktoś przyjął, że tak się nazywam. I ten Piotr Jagodziński miał być właśnie tym moim pseudonimem, na który się powołałem w Paryżu, żeby uzyskać... Ale właściwie to ja dopiero, jak przyjechałem do tego Paryża w lipcu, to powiedziałem im dopiero, czego ja naprawdę potrzebuję. Bo wcześniej nie dotarła ta wiadomość do nich, bo ciężko było ją przekazać, nie było takiej opcji. Jak ktoś jechał, to tam zostawał i nie wracał, prawda, albo jechał do Francji. O pewnych rzeczach nie było kontaktu takiego telefonicznego, żeby ktoś mówił o czymś przez telefon i żeby ten drugi rozumiał, o czym on mówi, prawda. Tak jak to jest ten dowcip, że podczas powstania ktoś mówi, że: „Halo, halo, no dostaliśmy od was te dwa worki ziemniaków, ale ten drugi worek to się trochę zacinają”. Tak że tego typu rozmów o radiu nie prowadziliśmy, bo nie było sposobu, żeby to przekazać przez telefon. Ani napisać, bo nie miałem takiego kanału. Tak że w zasadzie to było obliczone, że ja tam pojedę i to zdobędę. No Paryż, to musi to się zdobyć. Zakładając dwa miesiące wakacji na to, że spędzę tam całe lato. I to się udało. O dziwo. To znaczy przyjechałem do Paryża, gdzie zamieszkałem u Szymka Pochwalskiego, czyli u syna „Ciotki” Pochwalskiej. Ponieważ była to jedyna osoba, którą znałem w Paryżu. Znałem jeszcze kogoś innego. Miałem jeszcze takich znajomych, którzy mnie tam ugościli też, ale raczej tak tylko... bez mieszkania u nich, tylko tak się spotkałem z nimi, gdzieś tam do restauracji poszliśmy. Ale generalnie to pojechałem do tego Paryża bez pieniędzy, znaczy, miałem jakieś pieniądze, ale bardzo marne, które w ogóle nie starczały tam na żaden pobyt, już nie mówiąc o noclegach. Pojechałem tam autostopem, ale sposobem zarabiania pieniędzy było granie na ulicy na gitarze. Tak że na misję podziemnej Solidarności to byłem skromniutkim emisariuszem. Nie miałem żadnej kasy, tak jak mówię, od Teosia, żadnej, na ten wyjazd, to było wszystko za moje pieniądze. Przy czym pożyczyłem od ojca 100 dolarów, pamiętam, i te 100 dolarów pożyczyłem, czyli miałem oddać po powrocie. Więc oddałem nawet. Ale cały czas zarabiałem tam, grając na ulicy na gitarze, co było niekiedy bolesne z głodu, bo czasami się tego... jadąc tam autostopem, znaczy nie całkiem autostopem, bo leciałem z Warszawy do Berlina, Wschodniego Berlina, samolotem. I dalej już do Berlina Zachodniego na piechotę, a z Berlina Zachodniego autostopem do Paryża, po drodze przez Antwerpię, bo w Antwerpii chciałem odwiedzić... to też traktowałem to jako podróż po prostu, jako przyjemną podróż, pierwszą moją na zachód w życiu. Więc jako 22-latek pojechałem do tego Berlina Zachodniego, potem następne miejsca to była Antwerpia, a potem też Holandia, gdzie byłem w takiej miejscowości [niezrozumiałe], zdaje się, i tam nas przyjął... A to właśnie ciekawa rzecz. My wtedy mieliśmy niesamowity PR jako Polacy w Europie i w zasadzie ludzie, którzy zatrzymywali nas, zatrzymywali się jako samochody, zabierające nas na autostop, następnie się nami opiekowali. Tak jak my dzisiaj gościmy Ukraińców w swoich domach, tak wtedy ja byłem goszczony przez ludzi, którzy zatrzymywali się, jak ich zatrzymywałem na autostopie. Ja w ogóle wtedy, to jest śmieszne, bo nie znałem czegoś takiego jak autostrady, bo w Polsce nie było autostrady, więc ja na przykład potrafiłem łapać na autostradzie ludzi, co powodowało, że ludzie się jeszcze bardziej zatrzymywali na zasadzie

„co wy tutaj się zatrzymujecie, Polaki?“, bo my mieliśmy oczywiście... byłem wtedy z koleżanką, taką Małgosią Bukowską i mieliśmy plecaki z polskimi flagami, więc krótko mówiąc, przyjmowano nas, tak jak wpadliśmy już w ręce jakiegoś Holendra, to zanim nas oddał, to tam po całej Holandii nas obwioził i jeszcze nas trzymali tam, i jeszcze nas zawiózł do takiego właśnie swojego znajomego profesora, Coleman się nazywał, profesor, który miał takie Muzeum Europy, które właśnie się mieściło na takim wzgórzu. W ogóle wspaniałe rzeczy, ale to wszystko było w drodze do Paryża. A wprowadzie ja wtedy, zdaje się, z Berlina już zadzwoniłem do Paryża i przekazałem przez telefon moje zapotrzebowanie. Tak że już z Berlina Zachodniego miałem świadomość, że nikt tego nie będzie podsłuchiwał. Choć... Nie no, raczej nie, chociaż powiem szczerze, spenetrowanie środowiska paryskiego było w mojej ocenie i na podstawie dokumentów dzisiejszych też, ogromne. Ale, powiedzmy, mogłem już przekazać komuś tam, że będę miał takie zapotrzebowania na te BGY 32 i jadąc... Wiedziałem, że to już mam zaanonsowane i po drodze Holandia, Belgia, zresztą musiałem być w Belgii, bo miałem wizę z Belgii, czyli wszędzie, wszystkie inne miejsca były tylko tranzytowymi krajami, a Francja tak średnio tranzytowa jest do Holandii. W każdym razie chciałem to zrobić zgodnie też z wizą, którą otrzymałem. A wizę otrzymałem poniekąd przez środowiska konspiracyjne. Tutaj pomogła mi znajoma Wojtka Maziarskiego, Zosia Jabłonowska, z tych Jabłonowskich, Zosia Jabłonowska, bardzo miła dziewczyna, której nie widziałem też od lat, której siostra, Maryjka, mieszkała w Belgii i jakiś jej znajomy załatwił mi to zaproszenie, tak że jechałem na zaproszenie osoby, której w ogóle nie znałem, do Belgii. Bo Belgia była tym celem mojego wyjazdu. W związku z tym w dokumentach się pojawia wyjazd mój do Belgii, to był wyjazd do Belgii, ale to był wyjazd do Francji, tylko Belgia była tym elementem, gdzie miałem wizę i gdzie chciałem przy okazji być, ale Belgia nie miała sensu w sprawach konspiracyjnych, tylko właśnie Francja.